

Wersja robocza tekstu, który ukazał się w „Rzeczpospolitej” 19.12.2007.

## Własność to złudzenie

Tomasz Żuradzki

Widmo niskich podatków krąży nad Polską. PO forsuje pomysł podatku liniowego na poziomie 15 proc. Szef PSL ogłosił niedawno, że jest za likwidacją opodatkowania zysków kapitałowych. Poprzedni parlament zniósł na wniosek PiS podatek od dziedziczenia i darowizn w gronie najbliższej rodziny (i tak bardzo niski). Także lewicowe rządy Millera i Belki obniżały obciążenia podatkowe – głównie dla firm.

Wszyscy liczący się politycy uporczywie podtrzymują pewien mit: obciążenia fiskalne są w Polsce za wysokie, a same podatki są złem koniecznym, bo zabierają obywatelom to, co oni sami uczciwie wypracowali. Zgodnie z takim sposobem myślenia prawo własności to „uprawnienie naturalne” – własność prywatna jest święta, a państwu od niej wara. Filozoficzne uzasadnienie tego poglądu dał oświeceniowy myśliciel John Locke. Twierdził, że wszelka legalnie zdobyta własność pochodzi z zawłaszczenia rzeczy niczyich poprzez pracę, która jest częścią nas samych. Ten, kto próbuje przejąć kontrolę nad efektami naszej pracy, próbuje przejąć kontrolę nad nami samymi. Stąd tylko krok do słynnego stwierdzenia Roberta Nozicka, zmarłego w 2002 roku amerykańskiego libertarianina, który w książce *Anarchia, państwo, utopia* pisał: „system podatkowy jest systemem pracy przymusowej”.

### **Mit własności i wolnego rynku**

Taki pogląd to mit. Własność prywatna nie jest żadnym „naturalnym uprawnieniem”, ale prawną konwencją zdefiniowaną przez system podatkowy. Dwóch filozofów z Uniwersytetu Nowojorskiego – Liam Murphy i Thomas Nagel – w wydanej przed kilku laty książce *The Myth of Ownership: Taxes and Justice* [Mit własności. Podatki i sprawiedliwość] trafnie zauważyło, że stopień ingerencji w rzekomo „naturalne” prawo własności nie może być podstawą oceniania systemów podatkowych, bo sama własność jest wytworem takich systemów. Podatki nie odbierają nam własności, tylko umożliwiają jej istnienie.

To co posiadamy nie jest rezultatem zawłaszczenia rzeczy niczyich w stanie natury, w którym nie obowiązywały żadne regulacje prawne – jak chcą naśladowcy Locke’a.

Nieruchomości, samochody czy akcje nie mają metafizycznej ceny przyklejonej do swojej istoty. Każda własność prywatna funkcjonuje w jakimś systemie społecznym, którego instytucje utrzymywane są z podatków. Wartość tego, co posiadamy, a także to, ile rzeczy i usług możemy kupić za zarobione pieniądze, jest zależna w dużym stopniu od czynników systemowych. Pomyślmy tylko, ile warte były nieruchomości, gdy państwo nie gwarantowało warunków umożliwiających bankom udzielanie tanich kredytów hipotecznych. Albo ile warte by były samochody w państwie bez dróg?

Podobnie rzecz ma się z wolnym rynkiem, który nie jest żadnym „produktem naturalnym” tylko skomplikowanym systemem utrzymywanym przy życiu dzięki tysiącom przepisów prawa i ciągłej ingerencji instytucji publicznych. Czy naprawdę ktokolwiek wierzy, że 400 mld dol., które w sierpniu tego roku banki centralne najbogatszych państw przeznaczyły na ratowanie systemu bankowego zagrożonego problemami na amerykańskim rynku kredytów hipotecznych było skutkiem działania „niewidzialnej ręki rynku”?

Tymczasem liberałowie gospodarczy zakładają, że rząd, nakładając obciążenia podatkowe, ingeruje w jakiś „naturalny” system wolnorynkowej wymiany. A jedynym sposobem oceny, czy dany system podatkowy jest sprawiedliwy, jest zakres jego ingerencji w ową wolnorynkową ekonomię – im jest ona mniejsza, tym lepiej. Zapominają, że to pojęcie jest tylko użyteczną konwencją – nie istnieje nic takiego jak wolna wymiana towarów i usług poza systemem podatkowym. „Wolny rynek” to skomplikowany wytwór człowieka, który przy pomocy rozbudowanych instrumentów prawnych i podatkowych oraz ciągłej interwencji instytucji publicznych pozwala jednym korzystać niemal za darmo z pracy innych. Dlatego wbrew temu, czego chcą liberałowie, nic nie przemawia za tym, by własność była w rękach tych, którzy ją zyskali w warunkach „wolnorynkowej ekonomii”.

Czy jest coś naturalnego w fakcie, że nauczyciel w państwowej szkole zarabia kilka razy mniej niż przedstawiciel handlowy w prywatnej firmie? Oczywiście, że nie. Istniejącym rozkładem dochodu i własności nie rządzi żadna niewidzialna ręka wolnego rynku. To władza decyduje, że istnieje taki, a nie inny system podatkowy i prawny, w którym czerpiący największe korzyści ze społecznej kooperacji nie muszą odwdzięczać się tym, dzięki którym posiadają swoje bogactwo. To, że w Polsce bogaci żyją „na gapę”, traktując biednych jak swoich służących, to polityczna decyzja kolejnych ekip rządzących, a nie żadne prawo natury.

### **Mit self-made mana**

Oto kolejny mit liberałów: ten kto pracuje więcej, jest sprytniejszy albo po prostu szczęście mu sprzyja, ma prawo do wszystkiego, co sam wypracuje. Że jest to mit – łatwo zobaczyć na

prostym przykładzie: czy jeśli prezes wielkiego banku z Londynu znajdzie się nagle w Mozambiku, to na koniec roku znów wypełni PIT-a opiewającego na kilka milionów funtów rocznego dochodu? Czy któreś plemię wynagrodzi go tak hojnie za to, że będzie przechowywał nadwyżkę paciorków i udzielał pożyczek pod zastaw kości z upolowanego słonia?

Oczywiście nie da się precyzyjnie obliczyć, ile procent naszych dochodów zawdzięczamy sami sobie, a ile kapitałowi społecznemu. Ale można przypuszczać, że to co sami wypracowujemy – szczególnie, jeśli żyjemy w relatywnie dostatnich krajach – to jedynie ułamek naszych realnych dochodów. Same zdolności indywidualne nie pozwoliłyby nam bogacić się, gdyby nie wysoki technologiczno-organizacyjny poziom danego społeczeństwa i sprawna, rozbudowana administracja. Kto nadal nie wierzy niech weźmie do ręki listę 100 najbogatszych według „Forbesa” i prześledzi, ilu ze współczesnych amerykańskich miliarderów zawdzięcza swe bogactwo odkryciom naukowym. To nie oni zapłacili za te odkrycia, były one możliwe dzięki zbiorowemu wysiłkowi tysięcy ludzi – także spoza USA. Dlatego ich majątek w dużej części jest dobrem publicznym. Kilku z nich, jak Bill Gates czy Warren Buffett, doskonale to rozumie, a większość swego majątku zapisali na cele społeczne i charytatywne.

Wniosek jest oczywisty: najlepiej zarabiający powinni płacić proporcjonalnie więcej od tych, którzy nie czerpią tak dużych zysków z funkcjonowania w danym systemie. Liberalni ekonomiści często mitologizują „dochód przed opodatkowaniem” czyniąc go jedynym punktem odniesienia dla oceny sprawiedliwości systemów podatkowych. Zapominają, że nie ma niczego takiego jak prawdziwa wartość naszej pracy, która nie byłaby zależna od finansowanych z podatków instytucji publicznych. Istniejący w danym momencie rozdział własności i zarobków nie ma w sobie żadnej magii, a prywatna własność nie jest święta. Jeśli nawet Proudhon mylił się twierdząc, że każda własność jest kradzieżą, to z pewnością można powiedzieć, że wszelkie bogactwo jest kradzieżą.

### **Mit podatku liniowego**

Takie podejście do własności i wolnego rynku ma poważne konsekwencje praktyczne. Jedyne, co powinno się liczyć przy ocenianiu danego systemu podatkowego, to jego rezultat: czy rozkład własności będący jego wynikiem odzwierciedla nasze poczucie sprawiedliwości. Podatki – pisali Murphy i Nagel w cytowanej wyżej książce – to najważniejszy instrument, za pomocą którego system polityczny wciela w życie swoje koncepcje sprawiedliwości.

W jaki sposób można sprawić, by bogaci oddali innym – przynajmniej w części – to, co są im winni? Oprócz opodatkowania konsumpcji (bogaci kupują więcej) powszechnie przyjętym sposobem podatek progresywny. Wyobraźmy sobie, że nauczycielka zarabiająca miesięcznie 2 tys. zł brutto może przeznaczyć na sprzątanie ulic tylko 20 zł (1 proc.) swoich dochodów. Szef firmy zarabiający 20 tys. zł brutto, który ma już luksusowy dom, dwa eleganckie samochody i jacht jest gotów, by na sprzątanie ulic poszło z jego dochodów 1000 zł (5 proc.), bo chce cieszyć się swoją własnością w przyjemnym otoczeniu. Dla nauczycielki każda złotówka ma więc znacznie większą wartość, niż dla dobrze opłacanego menadżera.

Co się jednak dzieje w sytuacji, w której na sprzątanie ulic wystarczyłoby pobrać od każdego tylko 1 proc. jego dochodów? Ci, którzy są za podatkiem liniowym twierdzą, że właśnie w ten sposób powinniśmy ustalić opodatkowanie. Nie ulega jednak wątpliwości, że w takiej sytuacji byłaby to jawna niesprawiedliwość: nauczycielka zostałaby obciążona maksymalną kwotą jaką gotowa była zapłacić, zaś menedżer znacznie poniżej swoich możliwości (200 zamiast 1000 zł). W naszym przykładzie bardziej sprawiedliwy byłby system, w którym każdy płaciłby np. połowę maksymalnej kwoty, jaką jest gotów zapłacić za tę usługę (ostateczne wyliczenie zależałoby od rozkładu dochodów w społeczności): nauczycielka zapłaciłaby 0,5 proc. swoich dochodów brutto, a menedżer 2,5 proc. Podatek progresywny jest więc bardziej sprawiedliwy niż podatek liniowy, a to samo rozumowanie można zastosować przy wyliczaniu opłat za inne dobra publiczne i społeczne: bezpieczeństwo, system sprawiedliwości, edukację, badania naukowe itd.

Niektórzy argumentują, że podatek liniowy sprawi, iż część bogatych, którzy wcześniej ukrywali swoje dochody, zaczną płacić podatki. To możliwe. Ale jeśli tak miałyby być, to powiedzmy wprost: podatek liniowy to jedynie przejściowy sposób zwiększenia obciążeń podatkowych, a konieczność jego wprowadzenia to rezultat nieudolności państwa.

### **Mit wysokich podatków**

Kolejny mit głosi, że w Polsce podatki są zbyt wysokie. Premier Donald Tusk mówił, że Polacy, którzy wyjechali do Wielkiej Brytanii „wybrali wolny rynek, prywatną własność, prywatyzację, czyli liberalizm gospodarczy” i „uciekają od pozostałości socjalizmu”. To oczywiście nieprawda. Całkowite obciążenia podatkowe w Wielkiej Brytanii liczone jako odsetek produktu krajowego brutto są wyższe niż Polsce – stanowią 37 proc. PKB, przy 34,2 proc. w Polsce (dane Eurostatu za rok 2005). Znaczy to, że Polacy, którzy wyjechali do Londynu wybrali nie tylko wyższe zarobki, ale także wyższy poziom opieki społecznej.

Co więcej w ostatnich dziesięciu latach obciążenia podatkowe w Polsce liczone jako procent PKB znacząco spadły – jeszcze w 1995 roku wynosiły one 37,1 proc. Dziś mamy jedne z najniższych podatków w Europie - niższy od nas poziom fiskalizmu mają tylko państwa bałtyckie, Rumunia, Słowacja i Irlandia. Nie tylko średnia ważona obciążeń podatkowych całej Unii (39,6 proc.), ale nawet średnia dla dziesięciu nowo przyjętych w 2004 roku państw jest wyższa niż w Polsce (35,2 proc. – dane za rok 2004).

Wniosek jest prosty: niskie podatki to domena najbiedniejszych krajów Europy (jedynym wyjątkiem jest Irlandia). Kraje Unii o najwyższych podatkach (w kolejności: Szwecja, Dania, Belgia, Francja, Finlandia, Austria), to jednocześnie jedne z najbogatszych krajów Europy pod względem PKB na głowę (Austria, Dania i Belgia są w pierwszej szóstce). Jeśli wziąć pod uwagę bardziej wyszukane kryteria uwzględniające jakość życia (czyli np. przeciętną długość życia, jakość opieki zdrowotnej, wykształcenie, bezpieczeństwo itd.) to kraje o najwyższych podatkach wypadają jeszcze lepiej.

Można zrozumieć ludzi, którzy – tak jak szefowie PO – przywiązani są do lektur swojej młodości, do pięknej epoki Reagana i Thatcher, do epoki śmiałych eksperymentów neoliberalnych. Zapominają jednak, że od czasów ich młodości minęło już ćwierć wieku. Dziś niskie podatki i liberalizm gospodarczy to domena najbiedniejszych krajów Europy. A sam podatek liniowy to znak zacofania i słabości państwa, a nie narzędzie sprawiedliwości.